

Druga strona medalu.

Zerwałam się z łóżka, czując to coś w powietrzu. Bardzo słabe, wręcz niewyczuwalne, ale niezwykle smakowite. Takie przysmaki w tych okolicach są niespotykane, w sumie, cokolwiek jadalnego jest tutaj rarytasem, za który można by było zabić. Tak więc nic dziwnego, że delectuje się tym czymś, wręcz zatracam się w tym stanie uniesienia.

Szkoda tylko, że to zniknęło wraz z tym, jak drzwi do mojej sypialni otwały się, a przez nie wchodzi jeden ze strażników. Poznałam go, co nie było łatwe, gdyż każdy z mych żołnierzy wyglądał identycznie. Czarny pancerz, długie kły, podkrążone, zielone oczy, skrzydła i bardzo szczupła sylwetka. Zapamiętałam go, ponieważ zaczął swoją wartę wczoraj wieczorem. Już wtedy wyglądał na słabego, a teraz chwiał się na kopytach tak bardzo, jakby miał zaraz paść z nóg.

- Królowo już czas – rzekł wartownik głosem sennym i ociężałym.

- Dziękuję – odparłam ze słabym uśmiechem, który najprawdopodobniej ukazał moje współczucie. – Za ile nadejdzie zmiana? – zapytałam przyjaźnie.

- Powinna się zjawić lada moment – odparł słabo.

- Dobrze, każ im czekać przed drzwiami. To wszystko, możesz odejść – poleciłam. Strażnik uklonił się powoli, jakby uważając żeby nie upaść i wyszedł.

Po tym jak zostałam sama wstałam z łóżka i podeszłam do toaletki, usiadłam na podniszczonej poduszce i spojrzałam w swoje odbicie. Ujrzałam to samo co każdego dnia, odbicie klaczy o ciemnozielonej grzywie i ogonie, czarnej sierści, powykrzywianym rogu i podziurawionych kopytach. Z drugiej strony srebrnej powierzchni patrzyła na mnie klacz zwana królową, która się nią nie czuła, ponieważ nie była w stanie zapewnić dobrobytu swojemu ludowi. Lecz została nią, ponieważ nikt inny nie był w stanie unieść tego brzemia.

Jeszcze długo potem patrzyłam w lustro myśląc: co jeszcze mogę zrobić, jakie kroki muszę wykonać aby zapewnić przetrwanie podmieńcom i ile moi poddani dadzą rady wytrzymać. Byłam zamyślona, lecz mimo to widziałam w odbiciu jak po moim policzku spływa pojedyncza łza, a wraz z nią wstaje słońce.

- Słońce! – krzyknęłam do siebie rozumiejąc jak mało czasu mi zostało. Nie tracąc ani chwili chwyciłam szczotkę i ciemnozielone siodło, szykując się w pośpiechu.

------*

„Szpital główny” głosił napis wyrity w ciemnobrązowym zboczu góry. „Szpital główny”, nazwa podziemnego kompleksu składającego się z kilkunastu pomieszczeń i paru korytarzy. Pamiątka dawnej służby zdrowia, obecnie ostatni punkt w wycieczce na tamten świat.

Stałam przed wejściem w towarzystwie czterech strażników i od razu

poczułam oddech śmierci, wychodzący z otworu w górze. Nie powinno tak być! Dawno temu wszelkie nieprzyjemne zapachy zostałyby odprowadzone przez misternie wykuwany system wentylacji, bądź zneutralizowane środkami czystości. Teraz jedno było zatłkane i zniszczone przez ząb czasu, a drugi po prostu nie istniał.

Już tutaj, przed samym wejściem mnie mdliło, a to był dopiero początek. Zapachem była mieszanina odchodów i zgnilizny, będących częścią składową kompleksu, zapowiadał co mogło się kryć w ciemnych korytarzach. Przez kilka chwil walczyłam ze swym żołądkiem, nie pozwalając mu kręcić fikołków, aż w końcu się przełamałam. Zrobiłam pierwszy, ostrożny krok, potem kolejny i jeszcze jeden. Każdy następny był coraz śmielszy, coraz szybszy, co w krótkim czasie wprowadziło mnie w mrok wykutego tunelu.

W środku panował półmrok, utrzymywany przez niewielkie lampy, wiszące co kawałek pod wysokim sufitem. Powietrze było bardzo nieprzyjemne, pomijając okropny zapach było ciężkie i gorące, czasami wręcz nie pozwalało oddychać, lecz mimo wszelkich przeszkód maszerowałam z uśmiechem. Z początku nie zwracałam na to uwagi, lecz potem poczułam to ponownie, mocniej. Smakowita rozkosz, będąca osłodą w tym nieprzyjemnym miejscu.

Szłam dalej, nie zwracając uwagi na nic innego, tylko pochłaniając słodki pokarm. Przynajmniej tak było póki z letargu nie obudził mnie płaczliwy krzyk z pokoju po prawej.

Nie będąc w stanie ponownie wyczuć słodkości zachwiałam się, przytłoczona smrodem i ciężkim powietrzem, ale szybko doszłam do siebie, trzymając swoje organy na wodzy. Nie mogłam pozwolić sobie na jakąkolwiek słabość, musiałam teraz emanować siłą, dla poddanych.

Weszłam do sali po prawej, domyślawszy się po krzyku, że tam znajduje się miejsce do którego zmierzałam i nie pomyliłam się. Za dziurawą szmatą, pełniącą rolę drzwi, znajdował się oddział dziecięcy, który tak naprawdę był wielką, słabo oświetloną salą, podpieraną przez wiele filarów i wypełnioną po brzegi małutkimi istotami, które w dużej mierze zaczęły się na mnie patrzeć.

- Królowo Chrysalis cieszę się, że poświęciłaś swój cenny czas na tą wizytę – odparł pierwszy z dwóch dorosłych podmieńców zmierzających w moją stronę.

- Doktorze, moim obowiązkiem jest znać stan mojego ludu. Jednak martwi mnie, dlaczego tak wiele dzieci trafia do tego ... „szpitala”? – zapytałam niedowierzając własnym oczom. Nic dziwnego, gdyż praktycznie cały pokój był zajęty przez małych pacjentów. Nie leżeli w łóżkach, zajmowałyby za dużo miejsca, a i tak już dawno temu zostały rozkradzione. Zamiast tego każdy z nich leżał na ziemi, zajmując kawałeczek podłogi lub zabierając go sąsiadowi.

- Nie dziwi mnie twoje zmartwienie pani. Dzieci najbardziej odczuły głód. To co mamy próbujemy im dzielić równomiernie, lecz problem jest w tym, że praktycznie nie mamy! – tłumaczył lekarz, lecz jego słowa nie były konieczne. Bardziej wymowny był widok dzieci. Wygłodzone i wychudzone podobizny dawnych, rozkrzyczanych urwisów. Teraz zachowywały swoje pierwotne kształty tylko dzięki chitynowym

pancerzom, które nie ujawniały jak mało jest ich samych w sobie. Widziałam... nie! Wręcz czułam jak są słabi. Widać było po nich, jak resztkami sił trzymają się na kopytach i wlepiają we mnie swe błagalne spojrzenia. Lecz i tak moją uwagę najbardziej pochłaniał widok chłopca, który był aż tak słaby, że jedynie machał skrzydełkiem. Może to były tylko drgawki, ale wyglądało to tak, jakby prosił abym do niego podeszłam, abym mu pomogła.

Czułam do nich wielkie współczucie, ale i żal. Wszystko przez to, że my sami nie potrafimy emanować dobrymi emocjami. Wszystkie one pozostają w nas nie wytwarzając pożywienia.

- Królowo i właśnie dlatego twierdzę, że potrzebujemy szybkiej ekspansji! Wszystko co mogło nas wykarmić na naszych ziemiach uciekło! Jeśli nie zdobędziemy nowego źródła pokarmu, to zginiemy z głodu! – przekonywał mnie donośnym głosem generał, towarzyszący doktorowi w dzisiejszym obchodzie.

- Już ci mówiłam, jesteśmy zbyt słabi na prowadzenie wojny. Nie wygramy! – odparłam nieco rozzłoszczona przez to, że po raz kolejny porusza tą kwestię i niestety ma po części rację, ale nie chciałam ryzykować.

- Królowo, niestety muszę przyznać rację generałowi – wtrącił się doktor.

- A ja sądzę, że sprawy wojny nie należą do pańskich kompetencji! – odparłam dosadnie, nie chcąc podejmować pochopnych decyzji.

- Z każdym dniem jesteśmy coraz słabsi. Jeśli nie zaatakujemy dziś, to jutro nie starczy nam sił aby wykopać sobie groby! – argumentował drugi z podmieńców.

- Nie zgadza się na ... - mówiłam póki znowu nie poczułam niewyobrażalnej słodyczy w ustach. Lecz tym razem nie przyszła powoli, stopniowo, a trafiła we mnie niczym ukłucie, lecz takie niezwykle przyjemne. Bez dwóch zdań smakołyk przybył o wiele większy i silniejszy. Teraz nie tylko ja go czułam. Wiedziałam to, gdyż dziesiątki pyszczków ruszały się szaleńczo. Dzieci starały zabrać dla siebie jak najwięcej przysmaku, bez opamiętania, bez umiaru. Wcale się im nie dziwię, to było po prostu zbyt dobre.

Maluchy szybko zjadły całość, lecz i tak poznałam ten pokarm. Taki rzadki, niezwykle pożądany, a teraz wiedziałam, że jest na wyciągnięcie kopyta. Czułam, że cała ta miłość jest nieopodal na wschodzie.

- Generale!

- Tak wasza miłość? – zapytał z lekkim uśmiechem.

- Szukaj wojska! Już wkrótce napelnimy brzuchy!